

Warszawa dnia 23 Sierpnia / 4 Września 1867 roku.

Nr 36. { Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. } Rok III.

ANTONI MAGIER.

W dniu 6 Lutego r. b. upłynęło trzydzieści lat od śmierci męża, którego wspomnieniu niniejszy artykuł poświęcamy. Będzie to tylko krótki i pobieżny zarys życia uczonego, któremu prace jego zjednały popularność w Warszawie. Zakres naszego pisma uwalnia nas od obowiązku kreślenia wyczerpującéj biografji, na jaką pamięć Magiera zasługuje. Pragniemy tylko podać charakterystykę jego niezmordowanéj działalności, jego prawdziwie mrówczéj pracy jako fizyka, który jednem z głównych zadań swojego życia uczynił poznanie najgruntowniejsze pod względem klimatycznym kraju, którego był obywatelem. Czytelnicy znajdą w tym małym szkicu piękny przykład wytrwałéj, długoletniéj pracy, którą Antoni Magier imię swoje zapisał w rocznikach naukowych ziemi naszéj.



Umierający na cholerę w szpitalu.

 Poezja do tego obrazka odnosząca się, pomieszczoną zostanie w N. 37 Opiekuna Domowego.

Antoni Magier urodził się w roku 1762 w Warszawie, przy ulicy Piwnéj, w domu pod Nrem 95, a zatem w tym samym gdzie przez kilka pierwszych dziesiątków bieżącego stulecia robił dostrzeżenia meteorologiczne, gdzie wystawiał dla wiadomości

publicznéj stopnie mrozu i ciepła, i gdzie w przedsionku widzieć można było namalowane ogromne koło, wskazujące obroty słońca i planet oraz stosunkową ich wielkość. Odebrawszy staranne i gruntowne wykształcenie, oddał się namiętnie naukom przyrodniczym, a przedewszystkiem fizyce i astronomji, powołany został na Członka b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk, i był professorem fizyki w liceum warszawskiem. Z liczby kilku wynalezionych przez Magiera narzędzi fizycznych i technologicznych, najdłużéj się utrzymywał i do dziś nawet jeszcze jest w częściowem użyciu jego próbierz do okowity oznaczający stopień jéj tęgości. Próbierz ten nawet zagranicą był przyjęty i wszędzie stopnie tęgości oznaczone za jego pomocą, nazywano stopniami próby Magiera, tak jak stopnie termometru nazywają od nazwiska jego wynalazcy, stopniami Reaumura, Celsjusza albo Farenheita. Nazywanie jakiego narzędzia od nazwiska wynalazcy jest zaszczytem, który zaprawdę słuszniej się należał Magierowi za wynalezienie nowego zupełnie narzędzia, niż np. Celsjuszowi za bardzo łatwe i proste zastósowanie innej podziałki do znanego już termometru.

Najważniejszą przecież zasługą naukową Magiera są jego dostrzeżenia meteorologiczne. Tutaj dał dowód cierpliwości i wytrwałości niezmordowanej, przez ćwierć wieku przeszło wykonywając sam jeden własną siłą i kosztem pracę potrzebującą bezustannej ani na jeden dzień nieprzerwanej czujności, pracę którą w innych krajach, a obecnie i u nas, całe ciała naukowe, wsparte pomocą rządów jedynie wykonywać są zdolne.

Niekażdemu zapewne wiadomo, jak dalece mozolnem jest zbieranie dostrzeżeń meteorologicznych, i jak wielką jest ich ważność, chociaż dopiero z miljona lub miljonów zrobionych obserwacji jaka nowa prawda odkrytą i wyczytaną być może. Nie jednemu zdawać się musi, że zapisać w dzienniczku iż dziś był deszcz albo pogoda, spojrzeć na chorągiewkę na dachu i zanotować jéj kierunek, wciągnąć do książeczki wysokość termometru i barometru z jakiejkolwiek pochodzącego fabryki i gdzie bądź umieszczonego, a potem co tydzień, co miesiąc lub co rok ułożyć z tego jaką tablicę, jest już całem zadaniem dostrzeżeń meteorologicznych, i że nic nie ma łatwiejszego nad takie zadanie, dosyć jest być troszeczkę pedantem, i nie mieć nic lepszego do roboty.

Tymczasem tak nie jest. Dostrzeżenia meteorologiczne ażeby mogły przynieść naukowy pożytek, ażeby mogły doprowadzić do celu, jaki sobie zasłużyła nauka, potrzebują być ścisłe, aby zaś mogły być ścisłe, muszą być różnostronne i pracowite. Narzędzia do nich użyte powinny być wypróbowane pod względem dokładności, często używa ich się po dwa lub po kilka, ażeby jedne kontrolowały drugie, po pewnym zaś czasie sprawdzać je należy koniecznie, ażeby mieć pewność czy nieuległy uszkodzeniu. Obserwacje robić należy zawsze w jednem i tem samem miejscu, którego położenie dokładnie oznaczonem być musi i którego temperatura zimą i latem jednostajną być powinna. Wszystkie te warunki, bez dopełnienia których nie można nawet myśléć o dokładności, dają miarę kosztu i trudów z jakiemi robienie tego rodzaju dostrzeżeń jest połączone.

Kraj nasz, w porównaniu z innemi krajami zachodniej Europy, dosyć późno wziął się do ściśle naukowych dostrzeżeń meteorologicznych. Zaczęliśmy je robić dopiero od lat 88. Od r. 1779 do 1799, robił je w obserwatorjum zamku królewskiego Karol Bystrzycki, astronom Króla Stanisława Augusta; od r. 1800 prawie przez dziesięć lat robił dostrzeżenia barometryczne Karol Kortum, członek b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a od r. 1803 przez przeszło lat trzydzieści Antoni Magier, po którym od r. 1836 czynność tę dalej prowadziło warszawskie Obserwatorjum Astronomiczne. Wypadki dostrzeżeń robionych tak przez siebie jak przez swych poprzedników objął Magier w obszernych *Dziennikach dostrzeżeń meteorologicznych*, pozostałych w rękopiśmie, a professor Wojciech Jastrzębowski streścił je i ogłosił w obszernej rozprawie napisanej w r. 1829 p. n. *Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych czynionych w Warszawie*, oraz przedstawił rysunkowo w *karcie meteorograficznej*, wydanej nakładem Antoniego Magiera. Rozprawa prof. Jastrzębowskiego, którą tu wspominamy, drukowaną była po raz pierwszy w całości wtomie II *Bibljoteki Warszawskiej* z r. 1841.

Według obliczenia prof. Jastrzębowskiego Magier przez ciąg tylko 25 lat zrobił obserwacji termometrycznych, 27,393, tyleż barometrycznych, tyleż co do kierunku wiatru i tyleż co do zmian pogody i słoty, 25,203 hygrometrycznych czyli tyczących się wilgotności powietrza, 3,120 udometrycznych, to jest wskazujących ilość wody spadłej z powietrza i 555 atmedometrycznych, to jest wskazujących ilość wody ulatniającej się w powietrzu za pomocą parowania. Te ostatnie doświadczenia robił Magier za pomocą wynalezionego przez siebie w tym celu narzędzia. Razem 138,450 obserwacyi, czyli średnio 5538 rocznie, a więc 18 dziennie. Daje to miarę ogromu pracy i niezmordowanej wytrwałości naszego badacza. Praca ta tym była większą, że Magier, oprócz dostrzeżeń, które robił co dzień około 4-ej rano, w południe i około 8 wieczorem, porównywał nadto temperaturę, jaka była w jego obserwatorjum z temperaturą obszerniejszych placów i przedmieść Warszawy, robił spostrzeżenia nad wysokością wody na Wiśle, począwszy od r. 1811, (a więc między innemi obserwował także najwyższy przybór, jaki miał miejsce d. 26 Sierpnia 1813 r. i dopiero przez tegoroczny wylew przewyższonym został,) a nadto w swoich dziennikach dostrzeżeń zapisywał obszerne wiadomości dotyczące wszelkich zdarzeń przypadłych w naturze od 1800 do 1828 roku, które z rozmaitych pism czasowych i innych źródeł z wielką pracą i kosztem zbierał.

Głównym celem dostrzeżeń meteorologicznych jest jak wiadomo z jednej strony poznanie dokładne klimatu kraju, a z drugiej wykrycie prawideł, na zasadzie których możnaby z przeszłego i obecnego stanu atmosfery oznaczać przyszłe zmiany powietrza co do pogody, słoty, zimna, gorąca, wiatru, posuszy i t. p. z podobną pewnością z jaką teraz obliczają się zaćmienia słońca i księżyca, wzbierania i opadania morza i inne fenomena, zależące od biegu ciał niebieskich. W obecnych czasach coraz bardziej się przekonywamy, że cel ten nie należy do niedościgłych marzeń. Obserwatorjum astronomiczne paryzkie, na zasadzie doniesień jakie odbiera telegrafem od innych obserwatorjów, może już dzisiaj robić prawie niezawodne wnioski o nastąpić mającej pogodzie, o ile ona zależy od kierunku prądów wietrznych, i nieraz na 48 godzin przed wybuchem

burzy o jej zbliżaniu się porty zawiadamia. Wielu także uczonych co raz trafniej przepowiada pogodę, że tu wspomniemy tylko o horoskopach p. Kajetana Kraszewskiego umieszczanych w *Gazecie Rolniczej* na parę mięsięcy naprzód, albo o tygodniowych buletynach, które umieszcza co niedziela jedno z pism drezdeńskich. Te przepowiednie, nie będące wypływem żadnej formułki rachunkowej lub prostego widzimisię, jak proroctwa kalendarskie, lecz sumiennych i wytrwałych obserwacji, sprawdzają się dotąd, i mogą w końcu doprowadzić dostrzegaczy na odkrycie rzeczywistego prawa, kierującego powtarzaniem się zjawisk powietrznych.

Nie ulega wątpliwości, że chociaż przepowiadanie pogody w kilkunastu ostatnich latach dopiero zaczęło odgrywać naukową rolę, dzięki głównie rozpowszechnieniu telegrafów, które pozwala jednocześnie wiedzieć jaki jest stan powietrza w rozmaitych punktach kuli ziemskiéj, już przecież i dawniéj ludzie nawykli do uważania stanu Nieba, mogli przynajmniej na kilka godzin przed deszczem lub burzą przewidzieć tę zmianę na pewno. Znaną jest pod tym względem zdolność marynarzy, którzy wiedzą o nadejść mającej burzy już wówczas, gdy nieobeznany z morzem podróżnik, wróżyćby mógł najpiękniejszą pogodę. Nic też dziwnego, że Magiera bardzo rzadko deszcz mógł zastać nieprzygotowanym. Zdarzało się, że wychodził na ulicę w czasie pogody uzbrojony parasolem; wtedy ludzie którzy go znali, a znała go cała Warszawa, wracali do domów po parasol, i nigdy się nie pokazało, żeby się Magier omylił. Jest to dowód popularności uczonego i wiary w jego naukę.

Oprócz prac które wymieniliśmy, Magier ogłaszał drukiem inne jeszcze swoje pisma naukowe. Z tych wspomniemy tutaj dziełko: *O używaniu barometru i innych narzędzi meteorologicznych*, które miało dwa wydania; drugie wydanie wyszło w Warszawie 1815 r.

Umierając w r. 1837, Magier miał pociechę widzieć, że praca przez niego podjęta nie zostanie ze śmiercią jego przerwaną, lecz dalej z większą jeszcze ścisłością, bo zbiorową siłą uczonego ciała, prowadzoną będzie. Obserwatorjum astronomiczne warszawskie rozpoczęło jeszcze za życia Magiera dalsze dostrzeżenia, a tym sposobem obserwacje meteorologiczne w naszem mieście idą nieprzerwanym prawie ciągiem od r. 1779.

W testamencie Magiera w liczbie innych zapisów znajdował się legat tysiąca złp. na wystawienie kompasu w ogrodzie Saskim, kompas ten jednak niedawno dopiero wzniesionym został.

Takim jest któtki obraz działalności człowieka, który prawie całe życie swoje przepędził w murach jednego miasta i między czterema ścianami jednego domu, a którego żywot cichy był przecież pożyteczniejszym i pamiętniejszym od życia wielu ludzi, co dużo świata objechali, a mało z niego nauki przynieśli. *Wład. S.*

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(Ciąg dalszy, Patrz Nr. 35).

Zebrał wszystkie władze umysłu, ażeby sobie przypomnieć w jaki sposób leżały zwłoki rozbitego o skałę człowieka. Obraz ich w nadrobniejszym szczególe pozostawał w jego pamięci, łatwo więc uprzytomnił sobie na nowo pozycją góry, na którą wchodził zrana. Z uwagą tak czujną jaką być mogła tylko baczność, przez tak straszne wrażenia rozbudzona, z nowemi siłami, bo kwadrans ostatni który przeżył kazał mu o całem znużeniu zapomnieć, odmalował sobie w pamięci topografją miejsca w którem się znajdował.

Wkrótce oddaliwszy się od trupa, odszukał drogę którą się dostawali na górę i poznał ją, zrana bowiem myśląc o zbrodni którą miał popełnić i szukając do niej odpowiedniego miejsca, każdy punkt, każdy załom dróżyny którą się pięli, badał bardzo uważnie i teraz wszystko na nowo stawało mu w pamięci.

Nim się puścił na powrót drogą, którą przebywał z Janem Świtem, zabezpieczył się jeszcze jednym sposobem. Ognisko palące się na górze, którego płomień jaśniejący w ciemności doprowadził go do zwłok ofiary, obrał sobie teraz za punkt przewodni, aby się od trupa oddalić i na drogę, którą przyszedł w góry powrócić. Do tego świetlnego punktu, odniósł wszystkie przypomnienia jakie mógł zebrać co do drogi jaką na dół iść należało. W ten sposób stał się jeszcze pewniejszym, że nie zbaczy z obranego kierunku, a ta pewność dała tyle spokoju jego myśli otrzeźwionej niebezpieczeństwem, ile w jego położeniu było możebnem.

W kwadrans po odejściu od zwłok ofiary, był już pewnym, że się znajduje na tej samej drodze, którą przebywał razem z Janem Świtem; w godzinę potem po niesłychanych wysileniach natężonej baczności był już na owej ścieżce, którą szedł z rana na jakiej spotkał nieznajomego i którą tylko po to opuścił, ażeby go zabić i jego nazwisko sobie przywłaszczyć.

Gdy się uczuł na drodze wytkniętej przez ludzi i na której zbłądzić już nie mógł, odetchnął i zawołał:

— Z piekła wyszedłem!

Chwilę pomyślał jeszcze, w którą ma stronę zwrócić się drogą, czy iść dalej tam gdzie zmierzał zrana, czy powrócić tam zkąd szedł rano.

Zdecydował się wrócić.

Raz przynajmniej wyjdę na znaną drogę — myślał,—papiery mam w porządku, jestem Jan Świt... po co się włóczyć po manowcach? Zaraz z rana wynajmę konie i przeniosę się szybko w inne górskie okolice, żeby sobie wynaleść miejsce gdzie będę mógł spocząć na dłużej, osiąść i przekonać ludzi, że jestem Janem Świtem, którym z takim trudem zostałem.

Z każdym krokiem zrobionym drogą, której kierunek znał już dobrze, Mrożek czuł się bezpieczniejszym, lecz w miarę ustępowania obawy powracało znużenie i potrzebował niemałych wysileń ażeby dostać się do wioski, w której był poprzedniego dnia rano i do której teraz dojść pragnął.

III.

Słońce już złocić zaczynało wierzchołki gór, gdy Mrożek przywlókł się nareszcie do celu swojej pierszej podróży.

W wiosce do której zmierzał, nie myślał zostawać dłużej, jak na dostanie koni i byle jakiej bryczki było potrzeba.

— Nicby mi się może i tu nie stało — rozważał w myśli, — ale zawsze im dalej od miejsca wypadku, tém lepiej. Spocznę sobie w drodze na bryczce... oh! będę też spał... jak nigdy.

Podążył do znajomej już sobie karczmy, poprze-

dniego dnia bowiem wstępował do niej na chwilę. Był pewny że przy pomocy arendarza, z łatwością dostanie koni tymbardziej, że mógł dobrze zapłacić.

Pomimo znajomości miejsca, instynkt ostróżności doradził mu rzucić okiem w okienko karczmy, w którem świeciło się jeszcze.

Spojrzał i zadrżał mimowolnie. Zdawało mu się, że poznaje mundury żandarmów austryjackich. Nie śmiejąc się poruszyć w pierwszej chwili, wpatrzył się jeszcze pilniej w zasmolone szyby karczemki. Cały stał się wzrokiem i słuchem.

Kilka zdań oderwanych z rozmowy mógł dosłyszeć.

— Więc tu był wczoraj powiadasz, mówił jeden z żandarmów do arendarza.

— Wczoraj rano w całej wsi go widzieli, — odpowiedział karczmarz

Mrożkowi włosy powstały na głowie.

— Mnie szukają — rzekł do siebie,—jakie szczęście żem nie wszedł.... uciekajmy...

Chwilę wahał się jeszcze z obiorem kierunku. Dalsze wyrazy, które go dobiegły z po za szyby, zatrwożyły go jeszcze bardziej.

— A więc w drogę natychmiast — mówił jeden z żandarmów, — w którą stronę poszedł?...

Mrożek nie słuchał odpowiedzi karczmarza i nie wahał się dłużej w obiorze kierunku. Na drodze mógł być spotkanym i ujętym w którąbądź zwróciłby się stronę, zostawało mu więc tylko uciekać manowcami.

Za karczmą niedaleko były gęste zarośla.

— Tam się schowam —pomyślał, będę ich widział w którą stronę pójdą.

I puścił się jak mógł najszybciej ku zaroślom.

Jakkolwiek starał się jak najciszej odbiegać od miejsca, które mu zagrażało niezbyt przyjemnem spotkaniem, bieg jego obudził psa spokojnie leżącego za karczmą i ten go zaczął gonić szczekając.

Mrożek nie uważał na to i jak mógł przyśpieszał kroku.

W tej chwili właśnie żandarmi wychodzili z karczmy, szczekanie psa nie mogło ujść ich uwagi, wkrótce więc dostrzedz musieli uciekającego Mrożka. Widok biegnącego ku zaroślom człowieka, wydał im się więcej jak podejrzanym, puścili się więc za nim natychmiast.

W parę minut zaledwie potem, jeden z żandarmów pochwycił za kark uchodzącego.

— Ha! jesteś ptaszku — zawołał.

— Puśćcie na miłość boską puśćcie—błagał wyrywając się Mrożek, —papiery mam w porządku... jestem Jan Świt.

Mimo oporu, w krótce Mrożek przyprowadzonym został do karczemki.

Mając go już w ręku, żandarmi przystąpili do zwykłej ryczałtowej indagacji, przedewszystkiem pytając karczmarza:

— Znasz tego człowieka.

Arendarz przypatrzył się Mrożkowi, mrugnął na niego jednem okiem może z przyzwyczajenia, a może chcąc mu dać do zrozumienia, że go poznaje i odpowiedział spokojnie:

— Nu.... nie znam.

— Coś za jeden? — zapytał żandarm Mrożka.



Pijacy, podług obrazu Vela[illegible]ueza. (Drzeworyt Paryzki).

— Papiery mam w porządku... jestem Jan Świt— powtórzył po raz dziesiąty może Mrożek, którego dotąd nie słuchano, choć ciągle na usprawiedliwienie swoje też same wymawiał wyrazy.

— Więc ma *pass* (paszport)? — zaczął żandarm cokolwiek grzeczniej, na wiadomość o papierach w porządku.

— Mam — odpowiedział Mrożek, drżącą ręką wyjmując z pugilaresem kartę legitymcyjną Jana Świta.

Żandarm przyjrzawszy się karcie i nie mogąc jej

nic zarzucić, stał się jeszcze grzeczniejszym jak poprzednio i w rozmowie z Mrożkiem używać zaczął z niemiecka trzeciej osoby liczby mnogiej.

— A kiedy oni mają pass, to czemu uciekali w krzaki?...

— Pies mnie przestraszył — zdobył się na odpowiedź Mrożek, odzyskujący przytomność i pewność siebie, w miarę coraz większych względów żandarma.

— Kogo pies goni ten ucieka do ludzi a nie od ludzi — odparł żandarm sentencjonalnie, a dlaczego ubranie mają takie poszarzane, podarte?... Gdzie oni byli przez tę noc?...

— Zabłąkałem się w górach i spać musiałem pod gołem niebem.

Kilka jeszcze podobnych pytań zadał Mrożkowi żandarm. Mrożek na wszystkie odpowiadał przytomnie i bez wahania. Odpowiadając, mimowolnie może często spoglądał na arendarza, a ten za każdą razą kiedy spotkał jego wejrzenia mrugał na niego lewem okiem, jakby dodając mu odwagi i pochwalając jego odpowiedzi.

Żandarmom śpieszyło się dalej, więc pozostawili Mrożka, zupełnie z jego odpowiedzi zadowoleni. Odjazd ich tak wyraźnie go uszczęśliwił, że arendarz nie mógł nie spostrzedz nagłego rozpogodzenia się jego twarzy i gdy stróże publicznego bezpieczeństwa wsiadali na konie, znalazł sposobność dania mu niezupełnie zrozumiałego sygnału, mrugnął nań obydwoma naraz oczami.

Oczne manewra arendarza, zaczęły nieco niepokoić Mrożka.

— Czego ten żyd chce odemnie?— myślał,—ha! nic innego tylko mnie poznał, żem był u niego wczoraj i zrobił mi przysługę, nie mówiąc tego przed żandarmami. Trzeba mu się będzie opłacić.

Domysł Mrożka był mniej więcej trafny. Karczamarz był człowiekiem przebiegłym, miał zapewne nieraz stosunki z ludźmi, dla których spotkanie organów bezpieczeństwa publicznego niekoniecznie bywa miłem i wiedział, że styczność z takimi ludźmi nieraz daje sposobność do znacznego, chociaż niezawsze bezpiecznego zysku. Już poprzedniego dnia Mrożek wstępując do jego karczmy był tak tajemniczym, tak małomównym, tak starannie odwracał twarz kiedy karczmarz mu się przyglądał, że wyprawne oko arendarza od razu upatrywać w nim zaczęło człowieka zostającego w niekoniecznej zgodzie z tysiącznemi paragrafami praw, ustaw i patentów austryjackich. Teraz zjawienie się tego samego człowieka w porze rannej o samym świcie, w odzieży wyszarzanej i padartej, przychodzącego z gór gdzie widocznie pod gołem niebem noc przepędził, jego ucieczka przed żandarmami, jego wydzieranie się, a po ujęciu ciągłe gorączkowo trwożne powtarzanie: że ma papiery w porządku i że się nazywa Jan Świt,— wszystko to razem jeszcze bardziej musiało utwierdzić podejrzenia arendarza.

Nie wiedząc z kim ma do czynienia, przebiegły karczmarz nie przyznał się do tego że poznaje Mrożka, jemu jednak samemu dał natychmiast mrugnięciem do zrozumienia, że sobie jego bytność poprzednią w karczmie najdokładniej przypomina.

Mrożek wylegitymował się przed żandarmami, legitymacja ta przecież niebyła dostateczną dla arendarza. Domyślał się czegoś krzywego i postanowił na tem zarobić,—zarobić ile się da najwięcej, a jeżeli będzie można zyskać sobie nawet w Mrożku klijenta, któryby liczył na jego pomoc i brał go za powiernika w swoich dalszych ze sprawiedliwością zatargach.

Po odjeździe żandarmów, Mrożek mający ciągle zamiar jak najprędzej puścić się dalej, był tyle ostróżnym, że niezaproponował arendarzowi wynagrodzenia za oddaną sobie przysługę, lecz czekał

aż on sam o tem zacznie i zapytał go tylko, czy gdzie na miejscu zaraz nie będzie mógł dostać koni.

— A możecie nieźle zapłacić? — rzekł karczmarz przybierając pewien ton poufały względem Mrożka.

— Mogę, byleby konie były dobre.

— Ny, ja sam zaraz jadę do becyrku (cyrkułu), mówił dalej żyd z jakimś przyciskiem, — to was odwiozę.

— Do becyrku?—mimowolnie powtórzył Mrożek.

— Jeżeli chcecie ominąć becyrk, to trzeba będzie dobrze zapłacić.... bardzo dobrze zapłacić.....

— Ileż?...

— Piętnaście reńskich.

— Co?...

— Piętnaście reńskich — odpowiedział karczmarz mrugając.

— Zgoda — odrzekł zelektryzowany mrugnięciem Mrożek, myśląc że arendarz w ten sposób każe sobie za przysługę zapłacić.

Nie było to bynajmniej zręcznem ze strony Mrożka, że tak łatwo i bez żadnego targu przystał na w pięcioro przynajmniej przesadzoną cenę. Ta łatwa zgoda potwierdziła tylko wszystkie podejrzenia arendarza i nasunęła mu myśl, że zdarzającej się gratki tak łatwo wypuścić niepodobna i zachęcała go do większych wymagań.

— Zgoda — powtórzył Mrożek, — tylko konie zakładaj prędko.

— Nu, co wam tak się śpieszy — odparł arendarz, — pojedziemy niedługo..... A i mnie się także coś od was należy — dodał mrugając, — ileż dacie?...

— Za co?—z udanem zadziwieniem odpowiedział Mrożek.

Nowe mrugnięcie i złośliwy uśmiech towarzyszyły odpowiedzi karczmarza.

— Nie wiesz za co?.... nu, a żandarmi?...

— Cóż żandarmi?... papiery mam w porządku... jestem Jan Świt?...

— Wa, wa!.... znamy się na tem.

— Nie rozumiem cię w cale.... daj mi pokój.... zakładaj konie..... śpieszy mi się.

— Ba, albo ja nie wiem że wam się śpieszy— z uśmiechem odpowiedział karczmarz,—to też nie targujcie się bardzo kiedy wam pilno. Mnie tu widzicie znają różne ludzie w okolicy i ja ich znam i u wszystkich mam zaufanie. Każdy wie że Dawidka bać się nie trzeba, Dawidek ludziom robi usługi i wam zrobił, a wy się targujecie. Żebym ja powiedział, że wy tu byli u mnie wczora...

— To cóż?... papiery mam w porządku....

— Nu, ale zawsze lepiej, że ja tego niepowiedział? nieprawda?

— Po co gadać co nie należy do rzeczy....

— To prawda że nie należy, więc dacie coś Dawidkowi za to, że nie gadał co należy?...

— Żebyś mnie więcej nie nudził dam ci....

Tu zawahał się Mrożek.

— Ile? — podchwycił karczmarz.

— Pięć reńskich.

Dawid roześmiał się głośno. Mrożkowi zimno się zrobiło.

— Trzeba było nie dawać nic — pomyślał, zdradziłem się.

Karczmarz śmiał się na całe gardło, powtarzając:

— Pięć reńskich!... nu, wun jaki on hojny, pięć reńskich!.... aże pięć reńskich!.... wa, wa!...

— Cicho-że bądź — przerwał mu niecierpliwie Mrożek, — ile chcesz?...

— Połowę, — odrzekł Dawid tajemniczo.

— Połowę czego?...

— Nie wiecie?....

Mrożek milczał, a karczmarz szukał wyrażenia któreby go zdradzić nie mogło; grał bowiem na zakryte i nie wiedział nic zkąd pieniądze Mrożkowi wpadły, domyślał się tylko że wpaść musiały, po szczodrej zapłacie za konie i po gotowości z jaką Mrożek chciał mu dać pięć reńskich. Czuł, że była sposobność wytargowania więcej i chciał rzucić słówko, któreby Mrożkowi pozwalało się domyślać, że wiedział więcej niż mówi.

— Połowę tego coście zarobili tej nocy — rzekł po chwili.

— Nic nie zarobiłem, warjat jesteś!.... bądź zdrów — odparł Mrożek, próbójąc oddaleniem się szybkiem pozbyć się nareszcie karczmarza.

Dawid przytrzymał go za połę.

— Czekajcie-no!... kto z nas warjat ja nie wiem... Jeżeliście nic nie... znaleźli... za cóż mi dawaliście pięć reńskich?...

Mrożek uczuł, że mu pot zimny występuje na czoło. Poniósł do niego rękę, nim jednak obetrzeć je zdołał, cofnął ją szybko i zbladł.

Najmniejszy giest Mrożka nie uchodził bacznej uwagi Dawida, musiał więc i on spostrzedz to samo co przeraziło zabójcę.

Ręka Mrożka zwalana była krwią Jana Świta.

— Możebyście obmyli ręce —rzekł z zimną krwią Dawid.

— Daj wody, prędko, wody.

— A za wodę dacie połowę?...

— Dam.

Układ stanął, a Mrożek za połowę tego co miał kupował sobie powiernika, który gdyby los kiedyś zechciał, mógł zostać świadkiem jego zbrodni.

Poszli razem do alkierza i zamknęli się w nim. Dawid schował klucz do kieszeni, poczem bez ceremonji przystąpił do rewizji tłómoczka i osoby Mrożka, drżącego chwilami jak liść na wietrze.

Dawid się spieszył. Papierów nie przeglądał, szukał gotówki tylko, nie wpadł mu więc w ręce dowód na dochód dożywotni, który mógłby go naprowadzić na wiele domysłów co do tożsamości osoby tego, co się mianował Janem Świtem. Ale i gotówki znalazło się przy Mrożku daleko więcej, niż jej było przy strąconym ze skały podróżnym. Pieniądze które Mrożek miał przy sobie, wyniosły około siedmiu tysięcy reńskich. Połowę tego zabrał Dawid, resztę pozostawił blademu jak chusta Mrożkowi i dopiero po dopełnionym podziale pozwolił mu obmyć ręce.

— Nu ty będziesz i tak bogaty z tem co ci pozostało — rzekł karczmarz po załatwieniu obrachunku, — tylko pamiętaj, nie bądź głupi.

Mrożek milczał.

— Ty pamiętaj, że Dawid twój przyjaciel i że Dawid milczy jak grób. Dawid ci radzi.... strzeż się. Ja o sobie pomyślę żeby mi się nic nie stało i nic mi się nie stanie, ale ty bądź ostrożny, bo się zdradzisz. Tyś tchórz... kto się do takich rzeczy bierze to nie powinien być tchórz. Słuchaj, ja ci powiem, jak przyjaciel ci powiem... bo mi ciebie szkoda, żebyś miał marnie ginąć... ty masz szczęście... odrazu siedm tysięcy reńskich.... wa! wa!...

więc ciebie szkoda, bo masz szczęście... tylko odwagi tobie brak...

— Nie nudź mnie — przerwał Mrożek.

— Nu, co ja mówię to dla twojego dobra, bo mnie ciebie żal. Gdybyś ty miał odwagę taką dobrą jak twoje papiery, toby tobie włos z głowy nie spadł. Ja tobie dam naukę... Czemu ty mnie w oczy wczoraj prosto nie patrzył?... ty przecie masz pass... Czemu ty dziś uciekał przed żandarmami, kiedy masz pass?... Ty myślał że oni ciebie szukają... co?... jeżeli ciebie szukają z takiem nazwiskiem jakie masz w papierach napisane, to ty głupi że się o inne papiery nie postarasz, a jeżeli masz inne nazwisko, to ty głupi kiedy się boisz. Ja ci powiem, że oni nie szukali ciebie tylko jakiegoś juhasa, co się starych bajek nasłuchał i poszedł na zbój jak za dawnych czasów...

— A!...

— I ty byłbyś sam wlazł im w ręce boś tchórz, prawił dalej Dawid, — tak jak mnie sam w ręce wlazłeś i połowę oddałeś, bo co jabym miał za prawo do ciebie, żebyś był mądry i sam się nie wydał i nic się nie bał?

— Łotrze!—przerwał Mrożek.

— Nu, ty się będziesz gniewał — rzekł obojętnie Dawid, —a ja ci powiem: że ja twojej krzywdy nie chcę i pieniędzy twoich darmo nie biorę, tylko cię za to uczę jak masz robić, żebyś nie zginął. Ja może głupstwo robię, bo jak ty rozumu nie nabierzesz, to cię złapią i wygadasz się ze wszystkiem i mnie jeszcze piwa nawarzysz. Ale co tam... zapłaciłeś dobrze... już ja o sobie będę myślał i ty myśl o sobie, a jak będziesz chciał co zrobić to się mnie poradź i podziel się zemną.

Niepodobna opisać wrażenia jakie ta długa przemowa wywierała na Mrożku. Twarz jego przechodziła kolejno wszystkie barwy od bladej jak kreda, aż do fjoletowo-czerwonej. Klął w duchu karczmarza najprzód, potem siebie; w końcu sobie, sobie tylko samemu przyznać musiał całą winę, całą nieudolność, całą głupotę. W Dawidzie natrafił na mistrza, na człowieka który go przewyższył i zwyciężył, który jego całe postępowanie skrytykował tak, że słowa na tę krytykę odpowiedzieć niebyło można i który nareszcie dał mu przykład, że się stosować do swojej teorji umie: obdarł go w biały dzień, na równej drodze, jawnie i wziąwszy mu połowę całego majątku, majątku zapracowanego *krwawo* w niefigurzycznem tego wyrazu znaczenia, wyznawał mu otwarcie że go oszukał, powiedział mu jakich do tego użył środków i uczył go jak postępować należy, ażeby czegoś podobnego a może gorszego jeszcze na przyszłość uniknąć. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

Zapalenie się od wódki.

Napoje spirytusowe tak się upowszechniły, że łatwiej znaleść na kuli ziemskiej naród nie mający żadnej religji, niż żadnych trunków. Zdawałoby się więc, że użycie napojów odurzających, jest zupełnie wrodzone człowiekowi: sąd ten o tyle tylko jest prawdopodobny o ile przypuścimy, że i wszelkie występki są naturalnym wypływem ułomnej ludzkiej natury. Bo zaiste, upijanie się jest występkiem w obec Boga, rozumu i społeczeństwa: prawdy tej dowodzić nie potrzebujemy; kto się przypatrzył dobrze pijakowi, kto zważył ile smutnych następstw pociągnęło za sobą pijaństwo, ten podzieli z nami to przekonanie. Nie wiemy kto pierwszy powiedział, a za nim tysiące innych powtórzyło, że pijaństwo zbydlęca człowieka. Zdanie to wszakże jest mylne, bo ubliża zwierzętom. Zwierzę ma instynkt, który częstokroć w podziw wprowadza najdzielniejsze umysły,—ale człowiek pijany ani rozumu, ani instynktu nie ma i li tylko kształty ludzkie zachowuje; bo jestże w nim choć jakikolwiek objaw duszy? Myśl złamana, zbłocona, legła pod bezkształtną kupą namiętności a raczej szału, który tryska z ich szklanych, matowych oczu, przebija się w całej postawie, przejawia w całem postępowaniu, jeżeli nb. pijany ma dosyć sił do działania. Z ciałem nie lepiej się dzieje: pijany chciałby świat zburzyć, a ledwie nogę dźwiga; chciałby Cycerona wymową przewyższyć, lecz język posłuszeństwo mu wypowiedział; chciałby ręką ludzkość całą objąć, lecz nie ma dość siły aby poprawić czapkę, która się mu na bakier zsunęła.

I pytam was, moi czytelnicy, jestże to człowiek? Godziż się go porównać np. ze szlachetnym koniem lub wiernym brytanem?

Spójrzcie tylko na zamieszczony w tym N-e Opiekuna obraz sławnego Velasqueza. Wystawia on opilców. Pjaństwo wyryło na ich nabrzmiałych obliczach cechę takiej głupoty, takiego spodlenia, że patrząc na nich pomimowoli musim rumienić się że jesteśmy ludźmi, pomimowoli czujemy własne upokorzenie i zapytujemy siebie: gdzież ta wyższość nasza nad zwierzętami? gdzie to berło władztwa, którem się tak lubim przechwalać?

Słyszeliście zapewnie, czytelnicy, te wyrazy: *zapalić się od wódki*, *wódka go spaliła* i t. p. Ale zapewnie mało z was który widział pijaka, rzeczywiście spalonego trunkiem. I myśmy także nie widzieli nic podobnego, przytoczym jednak wiarogodne przykłady poczerpnięte z dzieł medycznych, które utwierdzą was w przekonaniu, że wódka istotnie zapalić a nawet spalić może.

Jestto bezwątpienia rodzaj śmierci najdziwniejszy,—śmierci, której przyczyna długo była nieznaną i która często dawała miejsce podejrzeniom o samobójstwo. W ten sposób kończą czasem ludzie, którzy nadużyli napojów spirytusowych i których ciało jest przesiękłe alkoholem. Z wielolicznych bowiem doświadczeń naukowych przekonano się, że pewne organa ciała ludzi nadużywających napojów spirytusowych, przesiękłe są alkoholem czyli wódką. Nadewszystko tkanki tłuszczowe, najmocniej podlegają tego rodzaju nasięknienia. Wiadomo zaś każdemu że wódka i tłuszcz są materjami palnemi; otóż niech do takiego człowieka który się upił do nieprzytomności, przytknięty zostanie ogień kominka lub świecy, tłuszcz przesiękły alkoholem zapala się, a ogień rozchodząc się powoli po całem ciele zamienia je w węgiel i popiół. Powtarzamy jednak, że aby to straszne zjawisko miało miejsce, potrzebne są następne warunki: 1) Częste używanie napojów spirytusowyyh; 2) upicie się do nieprzytomności; 3) otyłość; 4) zetknięcie ognia z częściami tłustemi i wilgotnemi, które nasiąknął alkohol; 5) wreszcie, zupełna nieruchomość palącej się osoby.

Zjawisko to w ten sposób się odbywa: z punktu naskórka zajętego przez ogień, płomień udziela się częściom sąsiednim z tem większą prędkością, im bardziej skóra jest wilgotną; wilgoć ta bowiem jako naalkalizowana, już tem samem jest bardzo zapalną. W krótkim czasie płomień obejmuje całą powierzchnią ciała. Płomień ten i z barwy i z lekkości, podobny jest do płomienia spirytusu zapalonego. Ponieważ przytrafia się to zwykle w czasie snu lub odrętwienia pijanego, przeto ten ostatni bardzo prędko uduszonym zostaje. Z niebieskawego i lekkiego z początku, płomień powoli gęstnieje, tężeje i staje się białawym; gruczoły tłuszczowe mocno rozdrażnione, wydzielają obficie humory tłuste; skóra pęka, łupi się, a tłustość tkanek komórkowych dostarcza nowego żywiołu pożodze, która całe ciało obejmuje i niszczy go w ciągu kilku godzin.

Takie to są fizjologiczne fenomena *somoistnego* zgorze-

nia ciała, takim sposobem wódka zapala. Zauważano, że zgorzenie podobne zawsze ma miejsce na powierzchni, nigdy zaś wewnątrz organów. Tłuste, nasiękłe wódką materje, dostają się na powierzchnią ciała i zapalają i inne materje, tejże samej natury, postępują na zewnątrz aby zająć miejsce tych, które się już zwęgliły i tak dalej, aż ciało zupełnie spalonem i spopielonem zostanie.

Znając teraz przyczyny ludzkiego zgorzenia, przytoczym kilka przykładów, aby tem lepsze dać czytelnikowi o traktowanym przedmiocie wyobrażenie. Przypadki spłonienia są bardzo rzadkie; lekarze jednak zebrali ich nie małą liczbę, a statystyka wypadków tego rodzaju byłaby niezmiernie ciekawą, gdyby można było zebrać wszystkie nieznane wypadki, jakim podlegają spodleni pijacy płci obojej.

We fracuzkim *Dzienniku medycznym* czytamy: Marja Jauffret, wdowa po szewcu, kobieta otyła, pięćdziesięcioletnia, oddana od dawna pijaństwu, została przez wódkę spalona. Sprawozdanie lekarza wysłanego przez władzę dla zbadania rodzaju śmierci, brzmi w te słowa:

„Z ciała Marji Jauffret znalazłem tylko kupę popiołów i kilka kości zwapnionych. Jedna ręka i jedna noga zostały nietknięte przez ogień, równie jak ciemię. Przy zwłokach znajdował się stół nienaruszony, a pod nim zgasła fajerka. Krzesło, na którem prawdo-podobnie siedziała Marja Jauffret w chwili wypadku, miało siedzenie i nogi na pół zwęglone. Zresztą ani w kominie ani w pokoju, nie widać było najmniejszego śladu pożogi; wszystkie meble były zupełnie całe, tak, że wyjąwszy krzesło, żaden palny materjał nie mógł się przyczynić do tak prędkiego spłonienia trupa w ciągu siedmiu godzin.

W tymże samym dzienniku czytamy o innym wypadku: „Ośmdziesięcioletnia pani Boiseau, nie pijąca od dawna nic innego jak tylko wódkę, likier i inne gorące napoje, siedziała jednego wieczora w fotelu; służąca jej wyszedłszy za sprawunkami, znalazła za powrotem swą panią całą w ogniu. Zaczęła krzyczeć. Zbiegło się wiele osób: jedna z nich chciała zagasić płomień rękami, ale płomień uchwyca się jej rąk, jakby te były zwilżone spirytusem. Przynoszą dwa wiadra wody, wylewają ją na ciało płonące, lecz płomień nie tylko nie gaśnie, ale więcej się jeszcze wzmaga. Wreszcie pomimo wszelkich usiłowań obecnych, ogień gaśnie dopiero po zupełnem zwęgleniu części tłustych. Zczerniony szkielet, pozostał w całości na fotelu również lekko przez ogień opalonym. Gdy się ktoś dotknął do szkieletu, oderwały się odeń ręce, nogi i głowa."

W miesiącu Czerwcu, chirurg Merille, był wezwany przez władzę do ściągnięcia protokułu o zwłokach panny Thuars, znalezionej bez życia we własnym pokoju skutkiem spłonienia. Protokuł ten tak wyświetla tę sprawę.

„Głowa panny Thuars znajdowała się przy wilku kominkowym, o ośmnaście cali od środka ogniska, reszta ciała ukośnie rozciągniętą była przed kominem; wszystko było jedną massą popiołu; największe nawet kości straciły swą twardość wyjąwszy ciemieniowej, dwóch żeber lędźwiowych i części goleni. Nogi i jedna ręka była na pół przepalone.

„Zimno było na dworze tego dnia; na kominie wcale nie było ognia; żaden sprzęt w pokoju nie był uszkodzony; krzesło na którem siedziała panna Thuars, wprzód nim się rozsypało, nie przedstawiało żadnego śladu pożaru. Meble i rozmaite sprzęty były pokryte warstwą sadzy tłustej, wydającej woń zwierzęcą; na posadzce widne były strugi materij tłustych, cuchnących, czarniawych.

„Panna Thuars, podług sprawozdania służącej, wypiła w wigilją zgonu swojego trzy butelki wina i jednę butelkę araku. Ciało się zapaliło o szóstej godzinie."

Z przytoczonych powyżej przykładów, możemy wyprowadzić następne wnioski:

Że wsiąkanie i nasycenie alkoholem, jest niezbędnym warunkiem spłonienia ciała ludzkiego. Gdy przez długie nasiękanie cząstek alkoholicznych ciało zupełnie niemi nasyconem zostanie, spłonienie może mieć miejsce, ale jeżeli osoba znajduje się otoczona sprzyjającemi warunkami o których się wyżej powiedziało; jeżeli zaś przykłady spłonienia nie są zbyt częste, pochodzi to ztąd, że wsiąkanie i nasycenie, nie przejawiły się jeszcze w dostatecznym stopniu. Że zjawisko spłonienia częściej się przytrafia u otyłych u kobiet niż u mężczyzn, prawdopodobnie z tej przyczyny, że ich tkanka bardziej gąbczasta a tłuszcz bardziej płynny, łatwiej dają się nasięknąć alkoholem.

Takie to są skutki pijaństwa dość rzadkie wprawdzie, ale jak widzim możliwe. I chociaż wszędy i w szkole, i w pismach, i na kazalnicy, i przy konfessjonale, stosowne napomnienia i nauki odwodzą od pijaństwa, nie ginie ono— ale wzmaga się olbrzymio. Ci nawet często co krzyczą, piją także, jakto już wystawił biskup Krasicki w swem wierszu:

Ci, co się na takowe nie udają zbytki,
Patrz jakie swej trzeźwości odnoszą pożytki;
Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesoła i wolna,
Moc i raźność niezwykła i do pracy zdolna;
Majętność w dobrym stanie, gospodarstwo rządne,
Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki...

Lecz obyśmy tylko nie usłyszeli końca: „Gdzie idziesz? — Napiję się wódki."

Taką bowiem jest dewiza wszystkich nałogowych pijaków. W rzadkich chwilach oprzytomnienia i trzeźwości pojmują swój stan, widzą przepaść jaką dobrowolnie pod nogami swemi wykopali, wmawiają w siebie i w ludzi że się poprawią, a przecież lada okoliczność spycha ich z piedestału ludzkości, wtrąca w nowe bezdroża i biegiem przyśpieszonym do zguby prowadzi. Do zguby powiadamy, bo lubo rzadki z opilców skończy tak straszną śmiercią, którejśmy kilka przykładów powyżej podali, — to przecież koniec ich rzadko kiedy smutnym nie bywa.

Jedni przywodzą do ostatniej nędzy nie tylko siebie ale i swoję rodzinę, do której utrzymania zmusza ich boskie i ludzkie prawo, oraz własne sumienie. Drudzy kończą samobójstwem, kalectwem, lub nagłą śmiercią. Innych uczciwszych, zabija zgryzota. Wielu pijaństwo wprowadza na drogę zbrodni, za którą prędzej czy później zasłużona spotka kara. Wszyscy zaś pijacy trwonią zdrowie, mienie, czas, dają innym zły przykład, zakłucają spokój rodziny i społeczeństwa, którego stają się zakałą i hańbą, wreszcie: poniżają godność człowieka i słuszną wzgardę na siebie ściągają. *Mścisław Kamiński.*

ROZMAITOŚCI.

— *1560 ważnych wiadomości i przepisów z Techniki, Przemysłu, Rzemiosł, Rolnictwa i Gospodarstwa Domowego.* Pod tym tytułem wyszły dwa zeszyty dzieła, służyć mogącego jako podręcznik różnym rzemieślnikom, fabrykantom rolnikom i innym. Jest tam wiele bardzo dobrych przepisów. Dwa pierwsze zeszyty zawierają przepisy dla fabrykantów farb i pokostów, dla ogniomistrzów, tkaczy, bronzowników, cukierników, gospodyń, gospodarzy, fabrykantów wódek i spirytusów; dalej dla farbiarzy, lakierników, ogrodników, fabrykantów musztardy, w końcu dla fabrykantów drożdży. Dla ułatwienia nabycia, dzieło całe składać się mające z 500 stronic druku, podzielone będzie na sześć poszytów. Cena poszytu kop. 25 czyli pięćdziesiąt groszy.


Do tego Nr. dołącza się **Prospekt** na nowe pismo Dwutygodnik p. t. „**Kronika Rodzinna**" mające wychodzić pod Redakcją p. Aleksandry z Chomentowskich Borkowskiej.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.